

## **Czym jest jazz w Bielsku-Białej, czyli kolejna „Zadymka”.**

*Adam Romel*

W dniach 22 – 25 lutego odbyła się 14. edycja Bielskiej Zadymki Jazzowej. Festiwal, często określany najlepszym tego typu w Polsce, jak co roku zaproponował szeroki wachlarz wydarzeń. Znalazło się miejsce dla muzyków reprezentujących najróżniejsze kręgi stylistyczne; zarówno dla gwiazd sceny, jak i dla młodych – jeszcze nie albo już uznanych – twórców. Przyjrzyjmy się więc, ile i jakiej „zadymki” zrobiono w Bielsku-Białej tym razem.

### **Dzień pierwszy**

Festiwal zainaugurowali giganci w swoich kategoriach - kwintet Adama Bałdycha oraz duet Archie Shepp i Joachim Kühn. Pomysł zaprezentowania jednego wieczoru czołowej swego czasu postaci muzyki free oraz młodego zdobywcy wielu prestiżowych nagród wydawał się interesujący.

Kwintet Bałdycha zaprezentował komunikatywną, momentami folkloryzującą muzykę osadzoną w post-bopowej tradycji. Wydaje się więc, że sama koncepcja idealnie wpisuje się we współczesną estetykę. Niestety, muzyka z początku nawet efektowna, z minuty na minutę zaczęła wydawać mi się kopiującą samą siebie. Kompozycyjnie również nie znalazłem tutaj niczego interesującego, jednak nie przeszkadza to w momencie, gdy improwizując muzycy potrafią swoją sztuką wznieść muzykę na wyższy poziom. Najlepiej wywiązał się z tego zadania saksofonista Maciej Kociński. Uprzedzając fakty, okazał się on najbardziej interesującym punktem całego pierwszego dnia festiwalu, potrafiącym dramaturgicznie zaplanować trzymające w napięciu i stylistycznie różnorodne partie. Zupełnym przeciwieństwem okazała się gra lidera zespołu – w moim odczuciu jego solówki za szybko prowadziły do momentu kulminacyjnego, będącego za każdym razem postawieniem na jak największą liczbę dźwięków, bez przejmowania się tym, by dźwięki te razem tworzyły jakąś sensowną całość. Reszta zespołu grała co prawda profesjonalnie, jednak podążając za koncepcją lidera pokazała muzykę, którą odebrałem jako przewidywalną i niezapadającą w pamięć.

Shepp i Kühn zaprezentowali jazz będący zderzeniem dwóch odmiennych osobowości i podejść stylistycznych. Pierwszy - zakorzeniony w bluesie i szorstkim brzmieniu amerykańskiego free, drugi – pełen patosu i nawiązujący wyraźnie do tradycji muzyki europejskiej. Moim zdaniem efekt brzmieniowy byłby ciekawszy, gdyby Shepp zrobił trochę więcej „miejsca” swojemu koledze. A tak słuchaliśmy wysoce zaangażowanych, lecz statycznych elaboratów saksofonowych na tle klasycyzującego fortepianu. Brakowało mi jakiegoś punktu porozumienia, jakby obaj mówili w inny sposób o dwóch różnych sprawach. Świetnie wypadły dwa standardy – *Lonely Woman* oraz *Harlem Nocturne*. Zakomponowane fragmenty umieszczone były pomiędzy dramatycznymi wariacjami, mistrzowsko rozbudowującymi tematy przywołujące obraz tonącego w papierosowym dymie klubu. Tym samym otrzymaliśmy jazz stojący na granicy dwóch „epok”, którego słuchało się z zainteresowaniem pomimo niemałego wysiłku.

Ciekawa refleksja dotycząca podejścia do muzyki nasuwała mi się w momencie, kiedy jeszcze przed swoim występem wyraźnie nieprzywykły do tego typu sytuacji Archie Shepp odbierał nagrodę Anioła Jazzu. W czasach jego młodości sytuacja „kolekcjonowania” nagród, które miałyby świadczyć o poziomie artystycznym muzyka była prawdopodobnie obca. Dzisiaj wychodzący na scenę muzyk zazwyczaj wprawdzie legitymuje się ukończonymi szkołami i wygranymi konkursami, nastawiając z góry słuchaczy na mające nastąpić doświadczenia. Szkoda tylko, że efekt nie do końca spełnia oczekiwania.

### **Dzień drugi**

Dla większości koneserów występ Ambrose Akinmusire Quintet był, obok koncertu Marii Schneider, największą gratką festiwalu. Ten młody trębacz również legitymował się nie byle jaką nagrodą konkursową, aczkolwiek od początku słychać było wyższy poziom artystyczny kwintetu oraz prawdziwą klasę lidera. Nie było tutaj miejsca na „gwiazdorzenie” - tylko solidna, przemyślana, a tym samym niesamowicie wciągająca gra. Kwintet czerpał garściami z tradycji, uaktualniając ją o nowoczesne zdobycze jazzu. Ciekawie wypadł nieograniczający się do rytmicznej roli, a grający również barowo perkusista Kendrick Scott. Akinmusire pozostawiał jednak swoich kolegów w tyle, co w żadnym wypadku nie umniejsza ich roli! Wszyscy wydawali się trzymać emocje „na smyczy” - pozwalając muzyce wybrzmieć, stopniowo doprowadzali do „eksplozji”. Aranżacje utworów przewidywały określone miejsca dla solowych popisów, okraszając je kontrapunktującymi wstawkami i efektownymi przejściami pomiędzy kolejnymi partiami. Wszystkie te elementy tworzyły przepiękny, czysto muzyczny spektakl!

Zastanawiam się, dlaczego organizatorzy nie postanowili otworzyć drugiego dnia koncertem Buiki? Ambrose przyćmiłby wtedy moje (i pewnie nie tylko moje) mieszane odczucia co do występu hiszpańskiej artystki. Momentami intrygujący pod względem teatralnym, muzycznie był wręcz antytezą tego, czego spodziewam się po festiwalu jazzowym. Zaważył na tym pewnie fakt, że wokalistka występowała z elektronicznym akompaniamentem. Nie ma oczywiście w tym nic złego - późniejszy koncert NoJazz pokazał, co naprawdę można z elektroniką zrobić. Tutaj, w najgorszym tego słowa znaczeniu „podkład” imitujący wszelkiej maści etniczne brzmienia był tłem dla krzykliwych, monotonnych wokaliz i skromnych syntezatorowych improwizacji. Buika z pewnością ma ciekawy głos i spore umiejętności, wydaje mi się jednak że to brak „żywego” składu zaważył na męczącym, przynajmniej mnie, występie. Jeżeli mógłbym coś zasugerować organizatorom, to aby poszli za pomysłem przyświecającemu dniu trzeciemu i osobno aranżowali wieczory z muzyką „jazzową”, a osobno z „poza-jazzową”. W tym przypadku wyszłoby to na dobre zarówno Kwintetowi, jak i Buice.

### **Dzień trzeci**

Ten dzień Zadymki, to głównie finał konkursu dla nowych projektów muzyki jazzowej. Do finału dostały się cztery zupełnie od siebie różne zespoły. Zastanawiać się można, jakimi kryteriami należy oceniać tak stylistycznie odrębne od siebie grupy. Jednak z drugiej strony pokrępiający jest fakt, że nie został preforsowany tylko jeden typ ekspresji muzycznej, co pozwala zachować jakże potrzebną różnorodność.

Konkursowe popołudnie rozpoczął big-band Mateusza Walacha. Ze względu na naiwne kompozycje i aranżacje, wypadł on średnio. Oczywiście nie należy oczekiwać od młodych muzyków tego, czego oczekujemy od weteranów, lecz w porównaniu z innymi finalistami, moim zdaniem nie jest to jednak coś, co (na tym poziomie artystycznym) warto by nagradzać. Mając do dyspozycji tak bogatą big-bandową dyskografię, wątpliwe jest by ktoś po ten zespół szczerze sięgnął.

Na przeciwnym biegunie ukazał się Fusion Generation Project. Zespół zaprezentował wysoce żywiołową i motoryczną muzykę opartą o brzmienia elektrycznych instrumentów. W każdym z muzyków możemy dostrzec odmienne inspiracje. Jeżeli gitarzysta Krzysztof Lenczowski preferuje czytelny styl nawiązujący do Matheny'ego czy Scofielda, to basista Łukasz Jan Józwiak momentami wręcz kopiuje brzmienie Lesa Claypoola z grupy Primus. Prócz wszechobecnych technicznych fajerwerków, ważne jest to, że kompozycyjnie zespół również stał na dobrym poziomie. Charakterystyczne motywy muzyczne, ciekawe rozwiązania formalne oraz (tak ważna dla tego typu grania) samokontrola sprawiają, że zespół na przeszłość rokuje bardzo dobrze.

Projekt Dariusza Dobroszczyka, to standardowe trio na fortepian, perkusję i bas. Wpisuje się ono w charakterystyczny ecm'owski typ brzmienia i... nic więcej dodawać nie trzeba. W moim osobistym odczuciu zespół nie pokazał niczego nowego, a jednocześnie nie jest jeszcze na tyle

dojrzały, by nagradzać go bez krzywdzenia tym samym pozostałych uczestników konkursu. Nie oznacza to, że jest to zespół słaby! Po prostu specyfika wykonywanej przez nich muzyki sprawia, że tak jak w przypadku Mateusz Walach Big Band, warto by było popracować nad czymś, co szczerze pozwoli zainteresować się tym projektem na dłużej.

Interplay Jazz Duo wystąpiło na samym końcu i wydaje się, że był to zabieg zamierzony. Duet na fortepian i akustyczną gitarę basową wybijał się spośród uczestników na wielu planach. Zaprezentował złożoną, quasi-polifoniczną muzykę nawiązującą wyraźnie do legendarnego tria Billa Evansa (z sześciu zaprezentowanych kompozycji, dwie były właśnie jego autorstwa). W grze Jędrzeja Łaciaka wyraźnie słychać Scotta LaFaro, co w przypadku duetu ma ogromne znaczenie. Muzyka zespołu w pierwszej chwili może sprawiać wrażenie intelektualnej i „obliczonej”. Jest to jednak mylne spostrzeżenie, gdyż wewnątrz kryje się ogromny ładunek emocjonalny, przykryty przez niezwykle kontemplacyjny charakter całości. W połączeniu z naprawdę świetnymi kompozycjami oraz telepatycznym zgraniem obu panów dostajemy muzykę, która słusznie dostała nagrodę w tegorocznym konkursie.

Pomysł, by finał dnia trzeciego był przerwą od „muzyki artystycznej” i postawienie na dobrą zabawę był w moim przekonaniu świetny. Grupa postawiła na wysoce energetyczne „beaty” z dodatkiem świetnych (w tej konwencji) improwizacji na instrumentach dętych, deklamowanych wokaliz, z czynnym włączeniem w to wszystko publiczności, która wspólnie z muzykami skandowała teksty utworów, tańczyła na scenie i epatowała niesamowitą wręcz energią. Różnorodnie i ciekawie napisane utwory nawiązujące do całego spektrum różnych gatunków (reggae, muzyka kubańska, nu-jazz, hip-hop) plus wysoki stopień spontaniczności sprawił, że koncert był interesujący nie tylko dla chcących się po prostu bawić, a również dla tych chcących słuchać. Ciągłe puszczenie oka do odbiorcy, przy jednoczesnym nie narażaniu się na kicz jest umiejętnością naprawdę wartą uwagi. A moja finałna myśl jest taka, że grupa pojawiła się na festiwalu nie tylko z powodu mistrzowskiej pod względem marketingowym nazwy. Tak naprawdę dała nam poczuć – w bardzo zaktualizowanej formie - czym był kiedyś taneczny jazz.

Wieczór zakończył klasyczny klubowy set DJ'a Balata.

### **Dzień czwarty**

Przedostatni wieczór Zadymki był muzycznie wypełniony do granic możliwości (również wzajemnym poklepywaniem się po festiwalowych pleckach). Galę w Teatrze Polskim otworzył finalista konkursu, zespół Interplay Jazz Duo. Muzyka duetu pięknie komponowała się z salą teatru, tworząc niesamowitą wręcz atmosferę.

Po przerwie na scenę wkroczył tegoroczny jubilat, Andrzej Zubek. Wpierw nagrodzony za jego wkład w rozwój polskiego jazzu, następnie ze swoim pierwszym historycznym kwartetem zaprezentował muzykę mogącą być (bez wdawania się w oceny) podsumowaniem tego, co rozumiemy pod pojęciem „współczesny polski mainstream”. Muzykę na bardzo dobrym poziomie, czerpiącą najlepsze wzory z tradycji, lecz z wyłączeniem tych elementów, które mogłyby zbytnio zaskoczyć słuchacza bądź nadwyrężyć jego wrażliwe(?) ucho. Na galę w teatrze – idealne. Zespołu słuchało z zainteresowaniem, muzycy cały czas prowadzili słuchacza ścieżką bez przypadkowych odnóg i ślepych uliczek, co może być zaletą lub wadą – zależnie od gustu. Wydawało się, że na największą swobodę pozwalał sobie kontrabasista Bronisław Suchanek, który swoją pomysłowością oraz eleganckim nawiązywaniem do poza głównie-nurtowych stylistyk doskonale urozmaicał muzykę proponowaną przez kwartet. Na finał do zespołu dołączyła Silesian Jazz Orchestra. Trzeba w tym momencie pogratulować odwagi - bądź co bądź w większości studenci Zubka mieli za chwilę być poprowadzeni przez Marię Schneider. Jubilat zastosował jednak sprawdzony „trick” i bisował koncert chwytliwym standardem, co zawsze w jakiś sposób stymuluje emocjonalnie publiczność. Moim zdaniem bez tego jego big-bandowa propozycja wypadłaby blado.

Po kolejnej porcji uścisków dłoni, nagród i podziękowań nastąpiła chwila, na którą prawdopodobnie czekali wszyscy od samego początku Zadymki. I bez przesady można powiedzieć, że Maria Schneider doprowadziła śląską orkiestrę na muzyczne (nie tylko jazzowe!) wyżyny. Jej muzyka jest złotym środkiem pomiędzy kompozycją i improwizacją, pomiędzy zamysłem kompozytora, a indywidualnością instrumentalisty. Jeżeli ktoś miał okazję być na otwartych próbach zespołu oraz słyszał ostatnie projekty solistów, to podczas koncertu mógł dojść do wniosku, że Maria Schneider dokonała swego rodzaju cudu. Tak przygotowała zespół, by bezbłędnie odczytał jej intencje – było to widać na próbach, podczas których kompozytorka wyczulona była na każdy najmniejszy detal. Efektem była sztuka, której nie można określić inaczej, jak po prostu przepiękną. Kolejne utwory subtelnie nawiązywały do muzyki różnych regionów świata, nawiązania te były jednak tylko pewnym impulsem, gdyż cały czas obcowaliśmy z oryginalnym językiem Marii Schneider. A jest w nim miejsce zarówno dla wzruszającego liryzmu, jak i dla ekspresyjnego bluesa. Za każdym utworem kryła się pewna historia, którą muzycy idealnie potrafili oddać w czasie swoich solowych „pięciu minut”. Pozostaje więc mieć nadzieję, że doświadczenia zebrane podczas pracy z tą wybitną aranżerką zaowocują i doczekamy się powtórki z tego niezwykłego wydarzenia w przyszłości.

### **Dzień piąty**

Wydaje mi się, że bez przesady można określić koncert sekstetu Jana „Ptaszyna” Wróblewskiego za faktyczne zakończenie festiwalu, gdyż to co działo się później na Szyndzielni („koncert finałowy”) na pewno nie miało żadnych artystycznych aspiracji.

Jan „Ptaszyn” Wróblewski zaprezentował kompozycje swoich pierwszych mistrzów: Komedy, Trzaskowskiego i Kurylewicza. Nie zostały one drastycznie przearanżowane - mówił o tym sam Ptaszyn, gdyż chciał w każdej z nich przywołać ducha swoich autorytetów. Pomimo tego udało mu się zaznaczyć swoje „Ja” w każdym utworze, co pozytywnie wpłynęło na jakość muzyki – nie była ona naśladowaniem nagrań z naszej płytkoteki, a czymś, co zyskało nowe oblicze i wartość doświadczenia na żywo. Styl gry sekstetu określiłbym jako „starą szkołę”, muzykę w swym liryzmie bezpośrednią, mówiącą o pięknych rzeczach w sposób pozbawiony zbędnego sentymentalizmu, spoglądającą raczej w stronę swingu, niż na Coltrane'a. Dlatego też, pomimo różnych nastrojowo kompozycji (tak jak różni byli bohaterowie koncertu), jazz ten cały czas był pełen radości i spontaniczności. Pojawiło się legendarne *Astigmatic* – dotychczas moje doświadczenia z tym dosyć często granym na żywo utworem były mało zajmujące. Sekstet podszedł do kompozycji od zupełnie innej strony – zamiast podkreślać pierwiastek „free” i próbować przebić płytowy pierwowzór, zespół wykorzystał najbardziej odpowiednie dla siebie elementy oryginału, by przetłumaczyć go na zrozumiały dla siebie język. Komedowski standard zyskał tym samym innego koloru, co wyszło na dobre samej muzyce. I jeżeli w kontekście całego festiwalu mielibyśmy wskazać zespół, który w swej tradycyjnie pojmowanej „jazzowości” jest niezaprzeczalnie najbardziej autentyczny, to był to właśnie Sekstet Ptaszyna. Wszyscy wielcy tegorocznej Zadymki są już jedną bądź dwiema nogami w „nowoczesności” - oczywiście ani lepszej, ani gorszej od tradycji – dlatego też każda okazja do posłuchania fantastycznej muzyki o tym przemijającym już brzmieniu jest warta wykorzystania.

Szczerze współczuje ludziom, zapłacili niemałe pieniądze za „koncert finałowy” tylko po to, by siedzieć na schodach, korytarzach, w pomieszczeniach gospodarczych i „słuchać” zespołu ZumbaLand z głośników (oczywiście co szczęśliwsi mogli obejrzeć go na ekranie telewizora, nie wspominając o tych nielicznych, którym udało się stanąć pod sceną). Najwyraźniej organizatorzy postanowili (dosłownie) upchać jak najwięcej osób w jednym miejscu. Doskonale rozumiem, że taka jest tradycja Zadymki i fajnie jest napić się w górskim schronisku, nie ukrywam też pewnego uroku towarzyszącemu całemu przedsięwzięciu dostania się i wydostania z Szyndzielni. Szkoda tylko, że na miejscu okazało się to niewarte zachodu, a za wydane na bilet pieniądze można by napić się jeszcze dziesięć razy. Sam zespół chyba również dobrany został tak, by zbytnio nie

rozpraszał uwagi gości. Wypada wspomnieć, że wpisuje się on w nurt zamerykanizowanego world music, co w kontekście licznych projektów tego typu wypadło nieciekawie. Muzyka, która po tylu trudach z dostaniem się na koncert i tak pozostawia człowieka obojętnym, niech pozostanie recenzją dla samej siebie.

Organizatorom czternastej odsłony Bielskiej Zadymki Jazzowej prawdopodobnie przyświecał cel, aby ukazać możliwe jak najszersze spojrzenie na muzykę improwizowaną. Świadczył o tym dobór artystów zarówno głównych, jak i finalistów konkursu dla nowych projektów jazzowych. Bardzo odmienna stylistyka i konfrontacja spojrzenia „młodych” i „doświadczonych” tworzyły bardzo ciekawy kontrast, jednakże nie da się ukryć pewnego dyskomfortu spowodowanego oczekiwaniami co do „festiwalu jazzowego”, a tym co niekiedy zostało zaproponowane przez Zadymkę. Mimo wszystko plusy festiwalu były plusami przez duże „P”, które pozwalają przymknąć (lecz nie całkiem!) oko na pewne niedociągnięcia. Festiwal przyniósł mi wiele wzruszeń, mam więc nadzieję że obecne również rozczarowania zostaną zminimalizowane w przyszłym roku, by Bielsko-Biała mogła faktycznie i bez przesady chwalić się „najlepszym festiwalem jazzowym w Polsce”.